

Wojciech Kilar - Robert Łukaszuk OSPPE

Tutaj poczułem Jej matczyną rękę...

Robert Łukaszuk OSPPE (R.Ł.): *Przybywa Pan na Jasną Górę, aby tutaj świętować 70-tą rocznicę urodzin. Domyślam się, że w ten sposób pragnie Pan spełnić „najgłębszą potrzebę serca” dziękując Bogu, na wzór Maryi wyśpiewać „Magnificat” za wszystko, co dla Pana uczynił. Od ponad dwudziestu pięciu lat związek Pana z Jasną Górą można nazwać szczególnym. Proszę powiedzieć o jego początkach.*

Wojciech Kilar (W.K.): Początek kontaktów z Jasną Górą był taki, jak u większości Polaków - przychodziłem tutaj jako pielgrzym. Ścisłejsze związki nawiązały się w okresie stanu wojennego, a zacieśniły się po pierwszych wolnych wyborach w naszym kraju.

To, co Jasną Górę wyróżnia spośród wielu sanktuariów światowych - nie mówię tutaj niczego co byłoby odkryciem, bo dla wszystkich to jest jasne – to fakt, że nazywamy ją duchową stolicą Polski, duchową stolicą Narodu. Jest jednym z nielicznych sanktuariów, gdzie sprawy Boskie tworzą nierozzerwalną jedność z naszymi sprawami ziemskimi, narodowymi. Dlaczego o tym mówię? W początkach stanu wojennego zacząłem bywać na Jasnej Górze częściej. Przyjechałem tu na plener malarski wraz z Jerzym Dudą Graczem i wtedy poznałem Jasną Górę bliżej. Potem wielokrotnie zamieszkiwałem w klasztorze. W stanie wojennym było to dla mnie schronienie - nie przed sprawami politycznymi, pomimo mojego zaangażowania w Komitety Obywatelskie i w Ruch „Solidarność”. Nic mi nie groziło, ponieważ nie byłem nikim wysoko postawionym w Ruchu. Okres stanu wojennego był okresem utraty nadziei na jakiś czas, był okresem przygnębienia. Wprawdzie, kiedy dowiedziałem się o wprowadzeniu stanu wojennego, powiedziałem: *To znaczy, że komunizm się skończył.* Wiedziałem, że to jest przygnębiające i straszne, ale z drugiej strony świadczyło o tym, że tak dalej być nie może. Skoro władza posuwa się do takich środków, to na pewno jest to koniec tej władzy - prędzej czy później.

Na Jasnej Górze znalazłem wtedy schronienie. Tu, przy ołtarzu i przy Cudownym Obrazie Matki Bożej, poczułem się wolny. Poczułem, że tak naprawdę wszystko to jest nieważne, że ten ciężki okres, który przeżywamy jest chwilowy, że Matka Boża nas nie opuści, pomoże nam i wyjdziemy z tego. Tutaj odnalazłem wolną Polskę.

Nigdy nie miałem najmniejszych wahań religijnych. Od dzieciństwa tak byłem wychowany. Raz byłem bardziej praktykujący, a czasem zaniedbywałem trochę praktyki. Nazwałbym to rodzajem - nie wiem czy pychy - że najlepiej czułem się sam w kościele. Często siedziałem na samotnych medytacjach w pustych kościołach. Byłem jakby osamotniony w mojej wierze, bo najbardziej lubiłem ją przeżywać kontemplacyjnie. Dopiero na Jasnej Górze odzyskałem ogromne szczęście i radość bycia we wspólnocie. Im więcej ludzi jest w kościele, im jest ciasniej i trudniej jest klęknąć w tłumie, tym ja jestem szczęśliwszy. Przekonałem się, że wiara jest rzeczą wspaniałą wtedy, kiedy dzieli się ją z drugimi, kiedy się jest wśród ludzi, którzy też wierzą. Właściwie nigdy nie potrzebowałem słowa „wiara”. Mnie się wydaje, że ja „wiem”, że jestem pewien jednej rzeczy - że Bóg istnieje.

Wcześniej nie istniał w moim życiu różaniec. Odmawiany na Jasnej Górze splótł mi się z naszymi narodowymi losami. To nie jest różaniec odmawiany w jakiejś potrzebie, z prośbą o zdrowie własne czy bliskich, o zdanie matury, o sprawy zawodowe - ten różaniec tutaj odmawiany jest za Ojczyznę, w sprawach kraju i tego wszystkiego, co w nim się dzieje. Taki jest zresztą charakter artystów polskich, że u nich sprawy narodowe i religijne łączą się często ze sprawami czysto artystycznymi. Formalizm artystyczny - zabawa dźwiękami, słowami i obrazami nigdy nas nie satysfakcjonowała. Chcemy, żeby nasza twórczość do kogoś przemawiała, żeby służyła drugiemu człowiekowi, żeby służyła krajowi.

R.L.: *Pan Profesor ma ogromny wkład w tradycje muzyczne nie tylko Polski, ale i Europy, poprzez komponowane dzieła muzyczne. Jednym z nich jest „Angelus”, który zrodził się na modlitwie w Jasnogórskiej Kaplicy, a który dedykował Pan Matce Bożej i pozostawił jako szczególne wotum. Proszę o refleksję na ten temat.*

W.K.: Ten utwór był zainspirowany różańcem jasnogórskim. Jak już wspomniałem, byłem zawsze bardzo daleko od różańca. Prawdę mówiąc, nie istniał dla mnie w ogóle. Nazywana przez śp. ojca przeora Rufina Abramka „modlitwa rąk” nie była moją modlitwą. Obecnie ja z różańcem podróżuję, zawsze mam go w kieszeni. Mam tych różańców kilka, żeby przypadkiem, kiedy zmieniam marynarkę czy koszulę, nie zostać bez różańca. Tak właśnie zrodził się pomysł utworu „Angelus”, który zaczyna się odmawianiem różańca. Powstał utwór, jakiego jeszcze nie było. Była to apoteoza modlitwy różańcowej, inspiracja czysto maryjna. „Angelus” jest wynikiem moich jasnogórskich pobytów i bliskiego kontaktu z Matką Bożą.

Każdemu z nas katolików Matka Boża towarzyszy od najwcześniejszego dzieciństwa. Żeby naprawdę zrozumieć, kim jest Matka Boża, trzeba się do Niej zbliżyć. Ja znalazłem się tam, gdzie Ona jest w swoim Cudownym Obrazie, gdzie się Ją czuje. Ta świętość tu, na Jasnej Górze, rzeczywiście jest. To jest przedziwne. Nagle tutaj czujemy - my, którzy przychodzimy, którzy nie jesteśmy zakonnikami i księżmi - Jej dotknięcie. Ja tutaj poczułem, mówiąc trochę ckliwie czy patetycznie, Jej matczyną rękę. Tak, jak od dzieciństwa wychowywała mnie moja mama, tak tutaj, jako człowiek po czterdziestce, zostałem po raz drugi wychowany przez Matkę Bożą - jako człowiek - zarówno w mojej wierze, w życiu osobistym, jak i w mojej pracy zawodowej. Tak powstał utwór, który jest jednym z najważniejszych w mojej twórczości. Teksty religijne często bywają używane jako podstawa, tworzywo do utworów muzycznych przez ludzi, których interesuje tylko atrakcyjność tych tekstów. Bez powiązania z wiarą, z głębszym przeżyciem – są to tylko teksty interesujące, atrakcyjne, „fajne” teksty pod muzykę. Ja zawsze czekałem na ten moment, kiedy rzeczywiście poczuję głęboką potrzebę napisania utworu religijnego. Nie myślałem nigdy: *O, jest taki tekst, dobrze byłoby go zrobić. To „Zdrowaś Maryjo” jest bardzo piękne. Byłoby dobrze coś do tego napisać.* Dopiero na Jasnej Górze zrozumiałem: *Ja muszę to napisać.*

Często „Ave Maria” bywa słodkie, liryczne, pastelowe, durowe wyłącznie. To moje „Zdrowaś Mario” jest dramatyczne, jest odzwierciedleniem naszego losu, jest wołaniem do Matki Przenajświętszej o pomoc w naszych najważniejszych sprawach narodowych. Pod każdym względem jest to utwór, który nie powstałby bez Jasnej Góry. „Angelus” doprowadził mnie potem do następnych ważniejszych dzieł. Od tego czasu zaczął się w moim życiu wspaniały okres różańca i okres pisania muzyki, nazwijmy ją najogólniej sakralną, który doprowadził mnie do napisania Mszy świętej koncertowej.

R.Ł.: *7 grudnia 2001 r. w auli Pawła VI w Watykanie artyści Filharmonii Narodowej wykonali monumentalne Pana dzieło „Missa pro pace” w obecności Ojca Świętego. Będąc tam dostrzegłem, z jakim skupieniem Jan Paweł II słuchał tego utworu. Papież podkreślił majestatyczną prostotę, „piękno zakorzenione w chrześcijańskiej tradycji i piękno wyrastającego zeń polskiego ducha”. To dzieło zabrzmiało na początku maja 2002 r. w Jasnogórskiej Bazylice. Jak zrodziła się myśl powstania tej mszy? Co pragnie Pan przez to dzieło powiedzieć współczesnemu człowiekowi i współczesnemu światu?*

W.K.: Pan Bóg działa przez ludzi. Zawsze marzyłem o napisaniu mszy, ale bałem się. Prawdopodobnie do końca życia nie ośmieliłbym się jej napisać, gdyby dyrektor Filharmonii Narodowej Kazimierz Kord nie zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie

utworu na stulecie Filharmonii. Pomyślałem sobie: *Jestem kompozytorem. Coś napiszę. Może to będzie uwertura, może jakiś koncert?* I wtedy on mówi: *A może byś napisał mszę.* Pamiętam do dzisiaj ten moment. Zaniemówiłem. Wypowiedział słowo, o którym całe życie marzyłem, ale nie miałem odwagi. Powiedziałem mu: *Słuchaj, ja pomyślę. To jest zadanie niesłychane.* Dlaczego niesłychane? Od tego momentu zaczęło to we mnie żyć. Pomyślałem, że jeżeli Kord, który tak dobrze zna mnie i moją muzykę myśli, że ja podołam, to może podołam.

Ja nie mam znowu takiego wysokiego wyobrażenia o sobie. Zawsze trochę się boję, czy podołam. I tak zacząłem myśleć o tej mszy. Trwało to chyba ponad pół roku, może nawet rok. Nagle gdzieś pojawiły się pierwsze nuty „Kyrie”, potem wizja „Sanctus”. Jeszcze nie byłem pewien, czy jest dobrze. Przystawiałem te nuty z miejsca na miejsce. Wreszcie powiedziałem do Korda: *Będę pisał mszę.* Zacząłem komponować w wigilię Zesłania Ducha Świętego, a skończyłem w moje ukochane święto – w Zwiastowanie Matce Bożej – 25 marca. Nie wiem, czy to przypadek?

Nie chciałem mszy triumfalnej - mszy dobrej na koronację cesarza, na ingres papieża, na urodziny króla, na uroczystość 3 maja. To jest msza medytacyjna, refleksyjna. Wszyscy potem mówili: *modlitewna.* Uznałem to za najwyższą pochwałę.

Pierwszego wykonania oczekiwałem z wielką treścią, a było to w Warszawie na początku 2001 r. - początku Jubileuszu Filharmonii. Warszawska publiczność przyjęła mszę niesłychanie serdecznie. Przez myśl mi wtedy nie przyszło, że pod koniec tego samego roku utworu wysłucha Ojciec Święty. Na warszawskim koncercie była pani Ewa Bednarkiewicz, która jest prezesem Towarzystwa Przyjaciół Fundacji Jana Pawła II. Przyszła do mnie po koncercie i mówi: *Ojciec Święty musi tę mszę usłyszeć.* Spotkała się z bpem S. Dziwiszem, który spytał: *A jaka to jest muzyka?.* Pani Ewa dała mu płytę. Biskup Dziwisz milczał przez kilka miesięcy. Dopiero w Lublinie, na uroczystości z okazji wręczenia doktoratu honoris causa KUL-u bpowi S. Dziwiszowi, prezes E. Bednarkiewicz mówi: *Księżę Biskupie, co z wykonaniem mszy Kilara. Jak to? – pyta bp Dziwisz – 7 grudnia.*

To, że msza mogła zabrzmieć w Watykanie, to cud, niewątpliwie najwspanialszy moment w życiu mojej żony i moim. Wszyscy mieli straszną treść. Ja to widziałem, bałem się o ten koncert, bo wszyscy byli zupełnie roztrzęsieni. Filharmonia Narodowa pierwszy raz występowała przed Ojcem Świętym, a koncertów, na które przychodzi Papież, jest niewiele. Myślałem: *Zabieramy Ojcu Świętemu ładnych kilka godzin życia, z których każda minuta jest ważna dla świata, dla Polski i dla każdego z nas*”. Wraz z żoną siedzieliśmy

trzęsąc się ze strachu i myśląc, że nerwowo tego nie wytrzymamy. Nagle, kiedy wszedł Ojciec Święty, kiedy ukazała się biała postać na ruchomym podeście, ogarnął nas zupełny spokój. Nigdy w życiu ani ja, ani moja żona, nie byliśmy tak spokojni. Poczuliśmy dotknięcie świętości. Miałem wrażenie, że chór, soliści i orkiestra wzniesli się ponad ziemię.

Jak Ojciec pamięta, siedziałem z przodu, ale nie widziałem Papieża. W momencie, który według mnie jest najlepszym fragmentem mszy - solo tenora przy słowach „Crucifixus” - lekko się obejrzałem i zauważyłem, że Ojciec Święty wtedy oparł się, zamyślił. Właśnie przy słowach „Crucifixus” pochylił głowę. Pomyślałem sobie, że przy tym krzyżu, który On niesie, mogliśmy sprawić Mu naszym wykonaniem przyjemność, to jest nieprawdopodobne szczęście.

Wiemy, jak ciężki jest teraz krzyż, który niesie Ojciec Święty, jaki jest stan Jego zdrowia. Ale im bardziej cierpi, tym bardziej jest święty. Jest to przeznaczenie tej jedynej osoby, która jest Namieśnikiem Chrystusowym. Cierpienie ma wpisane w swoje przeznaczenie. Widziałem nieprawdopodobny entuzjazm ludzi. Tylko pismo w rodzaju „Nie” czy „Fakty”, może z tego dworować. Ludzie rozumieją, że taki Papież bardziej działa, niż jako krzepki, tatrzański turysta, mówiący wspaniałym, aktorskim, wyćwiczonym głosem, rzucający zarciki. On działa tak samo, a może jeszcze silniej na młodych ludzi. Przecież wspaniałych, krzepkich ludzi, chcących zawładnąć mediami jest dużo, a nikt nie osiąga tego, co Ojciec Święty. Zrozumiałem, co to jest świętość.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia pojawił się u nas abp Damian Zimoń, przynosząc list osobisty Ojca Świętego do mnie. Nie przypuszczałem, że kilkanaście liter może uczynić człowieka najszczęśliwszym na świecie. Nie jest to list z pieczętką standardową, ale z odręcznym podpisem. Jest tam takie zdanie Papieża: *To, co powiedziałem po wykonaniu mszy w Watykanie, wypowiedziałem z głębokim przekonaniem.*

R.Ł.: *Panie Profesorze, wracając do Jasnej Góry...*

W.K.:... ta msza nie powstałaby, gdybym się tutaj nie pojawił. Nie powstałby „Angelus”, i nie odważyłbym się sięgnąć po teksty sakralne, posuwając się do napisania mszy. 1 maja 2002 r. „Missa pro pace” zabrzmiała u źródła, w Bazylice Jasnogórskiej, w miejscu, któremu swoje powstanie zawdzięcza. Przypuszczam, że gdybym nie trafił na Jasną Górę, tylko w inne miejsce, nie byłoby tej mszy, nie byłoby Watykanu, nie byłoby wykonania w Bazylice Jasnogórskiej.

Wstałem dziś w nienajlepszym humorze mimo, iż wiedziałem, że jadę na Jasną Górę. Myślę sobie: *Boże Świąty, jak to będzie?* Przyjeżdżam tu, i spotyka mnie coś zupełnie nieprawdopodobnego – Msza św. w Kaplicy Matki Bożej z okazji moich 70-tych urodzin, słowa ojca przeora Mariana Lubelskiego, ciepłe słowa innych ojców, list od Księdza Prymasa. Pomyślałem: *Jak ty człowieku mogłeś w ogóle być dzisiaj w jakimkolwiek humorze? Czy nie wiesz, że otrzymałeś dar życia? Czy nie ufasz Bogu, że On wie, co z tobą robi? Że ma wobec ciebie plany?*

Dzisiejsza uroczystość na Jasnej Górze była dla mnie i mojej żony nieprawdopodobnym przeżyciem. Chcę wyrazić szczęście ogromne i wdzięczność dla Ojców Paulinów, że zechcieli mnie tutaj kiedyś przygarnąć. Będę się starał być godnym tego zaufania, jakim obdarzyli mnie Ojcowie Paulini.

R. Ł.: *Na koniec dziękując za rozmowę pragnę raz jeszcze w imieniu Stróżów Jasnej Góry życzyć dobrego zdrowia i wielu jeszcze wspaniałych natchnień w twórczej pracy na chwałę Bożą i dla dobra człowieka.*